

Giaur

George Byron



calibre 0.9.43

GIAUR

George Byron
Tłum. Adam Mickiewicz

PRZEDMOWA AUTORA

Rozerwane ułamki niniejszego poematu składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody Wenecjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcijanie mniej są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy Wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy Arnauci, na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznym wtargnięciu Moskalów, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tym, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecyją. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleźć, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale

Przy grobowcowej Temistokla skale,

Która wyniosłym niebo czołem bodzie

I z góry patrząc na morza i smugi

Najpierwsza wita lądujące łodzie.

Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

* * *

Wyspy szczęśliwe! w każdej porze roku

Zarówno miłe i sercu, i oku,

Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,

Wraz nagły urok źrenice mu chwyta

I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.

Tu szklane morza cichego oblicze

Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,

Gór okolicznych odbija wierzchołki

Strzegące brzegów, z którymi łagodnie

Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.

Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliznie

I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,

I kwiecie z brzegu przyniesione miota,

Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!

Tam, na skał wierzchu, u ścieku poników

Błyszczą się róża, sułtanka słowików,

Jej brzmiały pochwały kochankowie leśni,

Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.

Śliczna i skromna, królowa ogrodów,

Nie tknięta wicherem, nie zwiędła od chłódów,

Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,

Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.

Balsamy, których niebo jej udziela,

W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,

Niebo wzajemnie co dzień jej użycza

Świetnych kolorów swojego oblicza.

Tam, w polu tyle jest kwiecica dla wianków,

Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,

Tam, groty dla nich ciosane umyślnie;

Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie

I z nocą z małej czatuje galery

Na bezpiecznego żeglownika stery.

Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,

Zabrzmi gitara morskiego przechodnia

Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi

Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,

Zahacza statek, zdobycze rozdziela;

Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała

Na ogród bogów i hojnie nań złała

Tyle bogactwa, piękności tak wiele,

Jakby we własnym zakochana dziele,

Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka

I dziś natura wpuszcza tu człowieka,

Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,

Ogród edeński na nowo wyplenia

I jako leśny dzik kwiecie wytłacza,

Nie pokropione znojami oracza

Ani znające ręki ogrodnika!

Tu kwiecie samo dokoła wynika,

Za tyle wdzięków, za taką obfitość

Uprasza tylko człowieka o - litość .

Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem,

A serce ludzkie - chucią i rozbojem.

Czyż kraje światła na nowo ogarnie

Noc namiętności rządzących bezkarnie? -

Patrząc myśliłbyś , że tu zbuntowani

Wojsko aniołów zwalczyli szatani,

I cherubinów trony dziś przywłaszcza

Tłum, który piekiel wyzionęła paszcza.

Tak śliczny kraj ten, ojczyzna rozkoszy,

Tak brzydki tyran, co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnym oglądał posłaniu

Nim dzień przeminął , pierwszy dzień nicestwa,

Piękne oblicze zaraz po skonaniu,

Ostatni trudów i bólów jestestwa;

Nim śmierć ostatnim przyciśnieniem ręki

Zgładziła rysy, gdzie chronią się wdzięki:

Kto pomni twarz tę anielsko -łagodną ,

Tak zimno piękną , tak smutnie pogodną !

Zda się w letargu zasypiać głęboko,

Zda się być żywą - gdyby nie to oko,

Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność ,

Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność

I straszy widzów, i serca im studzi,

I z oczu trupa wpada w serca ludzi -

Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,

Nim ta godzina - w tej jeszcze godzinie

Śmierć tak łagodnie, niewidomie w ładnie,

Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!

Dziś do tej twarzy Grecyja podobna,

Martwa od dawna, lecz dotąd nadobna;

Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,

Bo już piękności nie ożywia dusza.

Jej wdzięk jest tylko uśmiech pozostały

Na chwilę w ustach, co ducha oddały,

A jej rumieniec - chorowita krasa,

Która na trupich licach nie zagasa,

Ostatni odbłysek zachodnich promieni,

Co się wokoło ruiny czerwieni;

Ostatnie czucie, co żegna nadzieję,

Iskra niebieska, która dotąd tleje,

Lecz już swej miłej ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!

Każda dolina, każdy wierzch twej skały,

Jakie pamiętne! bo każde z nich był o

Kolebką swobód lub sławy mogiłą .

Arko potęgi! dziś , czyliż tak mało,

Czyż tylko tyle po tobie zostało? -

Wstań , niewolniku podły, wstań na chwilę ,

Powiedz: ten wąwóz - czy nie Termopile? -

Ty, z duchów orlich wyrodzony płazie,

Na Leonida gnieźdzący się głazie,

Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,

Zatokę , wyspy - wyspy Salaminy!

Powstań ! te dawne, zapomniane boje

Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:

Z popiołów przodków może wróg rozdmucha

Iskrę , zarodek ich wielkiego ducha.

A kto z was w boju żywota dokona,

Wliczy swe imię pomiędzy imiona,

Na których wzmiankę pochlebstwem pijani

Zwykli się trzeźwić , zwykli drzeć tyrani.

Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi,

Zginie, lecz tyle synom swym zostawi

Sławy, nadziei, że staną się zdolni

Rozerwać jarzmo i umierać wolni!

Walka o wolność , gdy się raz zaczyna,

Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,

Sto razy wrogów zachwiana potęgą ,

Skończy zwycięstwem. - Grecyja jest księgą ,

W której wiekami stoi wypisano,

Że klęska wolnych jest świata wygraną .

Królowie, sławę kupując u cieśli,

Gdzieś bezimienne piramidy wznieśli;

Wolni nie dbają , chociaż czasu fala

Wszystkie grobowce i pomniki zwała,

Większe pomniki zostały nad niemi,

Zostały góry ich ojczystej ziemi.

Tam muza oczom przechodniów ukaże

Groby swobodnych, wolności ołtarze.

Długo by mówić - przechodzić okropnie

Wszystkie od chwały do niewoli stopnie -

Dosyć jest wiedzieć , że nikt nie zagrzebie

Ducha swobody - chyba on sam siebie -

Bo własne tylko upodlenie ducha

Ugina wolnych szyję do łańcucha.

* * *

Mieszkańcy ziem tych! macież wy powieści

Dawnym podobne? i których by treści

Natchnęły muzę do polotów szczytnych,

W ślad muzy greckiej wieków starożytnych,

Gdy ludzie byli ziemi swojej godni? -

Dziś , do niczego niezdatni - prócz zbrodni.

Z ognistą duszą , co by mogła siły

Natchnąć do dzieła godnego pomników,

Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły

Niewolni - gorzej - słudzy niewolników ,

Zmazani całą szkaradą , co brudzi,

Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;

Nie mają nawet tej dzikich odwagi,

Piersi gotowej przyjąć oręż nagi;

Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa

Z nowym towarem stare oszukaństwa;

W tym tylko widać Greków dowcip dawny

I z tego tylko Grek na Wschodzie sławny.

Daremnie Wolność tylekroć zaklina,

Aby skruszyli jarzmo poganina,

By kark podnieśli, zgięty łańcuchami!

Nie - Grecy! - nie mam litości nad wami.

Przecież z Grecyji wziąłem te powieści,

Z czasów niedawnych i żałośniejszej treści.

* * *

Z dala, wśród morza pogodnego błyska,

Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska

Statek; rybacy poznali z obrotów,

Że to piratów statek lub Majnotów ;

Chcą z barką swoją w cieniach się przewinać

I brzeg niepewny z daleka ominąć ;

Choć im trud dzienny osłabił ramiona,

Choć rybim łowem barka przeciążona,

Silnie wiosłują , rudel krzywią w stronę ,

Aż dopłynęli do Porto-Leone,

Gdzie ich noc czeka, noc prawdziwie godna

Kraju wschodniego - cicha i pogodna.

* * *

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze? -

Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze,

Kopyt tętenty jak grzmoty po grzmotach

Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.

Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,

Jak gdyby świeżo z morza zszumowana.

Wieczór już uśpił fale morskich toni,

Ale nie serce tej dzikiej pogoni.

Groźnie na jutro niebo się zachmurza,

Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.

Nie znam cię , rodu twego nienawidzę ,

Ale w twych licach takie rysy widzę ,

Które w pamięci kiedy się raz wrażą ,

Z czasem się głębiej werzną , lecz nie zmażą .

Tyś młody, blady, lecz namiętne bole

Gorzały długo na twym smagłym czole.

Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,

Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,

Zgadłem, że Turek takiego człowieka

Powinien zabić - lub niech sam ucieka.

Tam - tam - poleciał - śladem jego biegu

Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,

A chociaż z taką szybkością prześcignął ,

Choć jak latawiec tylko w oczach mignął ,

Jego wzrok, jego twarz na kształt pieczęci

Wciśnione czułem w głąb mojej pamięci.

I długo w uchu huk kopyt słyszałem

Czarnego konia lecącego czwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki

Ocieniającej głębinę zatoki,

Obleciał wkoło, znowu na dół gonił ,

Skałą od moich oczu się zasłonił .

Zgadłem, dlaczego: temu, co ucieka,

Jest obrzydliwą źrenica człowieka;

On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy

Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.

Zbiegając z góry, nim konia nawrócił ,

Spojrzenie straszne, jak ostatnie, rzucił .

I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył .

Wtem nagle stanął , konia w bok zatoczył

I patrzy z góry, na strzemionach staje -

Czegóż on patrzy, tam, w oliwne gaje?

Księżyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów,

Błyszczą nad miastem lampy minaretów,

W mieście wre teraz Bajramu uciecha;

Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,

Ni muzułmanów pobożne okrzyki,

Przecież błysk widać każdej tofaiki .

Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,

Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu ,

Dziś ... Lecz ty, Giaurze, kto jesteś ? co znaczy

Twój ubiór obcy - i twój wzrok rozpaczy?

Co cię obchodzi Bajram? po co czekać

Naszego święta lub przed nim uciekać ? -

On stał - wtem nagły strach lica mu ścisnął

I strach ten nagle wściekłością zabłysnął .

A blask ten nie był jak rumieniec nikły

Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,

Ale jak bladość marmurowej bryły

Powiększają ca ciemnotę mogiły.

Brwi nasunione, osłupiałe oko.

Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko,

I na wiatr miotał , jakby groził gniewny.

Stał , czy uciekać , czy gonić , niepewny;

A wtem koń zarżał , niecierpliwy zwłoki,

I rzenie echem odbiły opoki.

Giaur za miecz porwał i szczęk rękojeści

Wybił go nagle z tej niemej boleści,

Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;

Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:

Dalej, w cwał , koniu, tu idzie o życie! -

Znowu koń czarny zagrzmiął po granicie;

Chyży jak dziryty - leci wzdłuż zatoki,

Dalej ku morzu - wpadł między opoki.

Nie widać twarzy - znikła strusia kita,

Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.

Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze

I nieruchomy chwilę stał na drodze,

Chwilę - i znowu opoka zagrzmiała,

Giaur poleciał , jakby go śmierć gnała.

Straszna to chwila, w której duch rozkręci

Za jednym razem cały zwój pamięci

I w jedną drobną kroplę czasu zleje

Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!

Kto nienawidzi, kocha się lub boi,

Temu za piekło jedna chwila stoi.

Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę

Wszystkie od razu wycierpiał katusze?

Chwila spoczynku, wśród potoku zdarzeń ,

Kto zliczy, ile mieści wyobrażeń ? -

Bo choć dla czasu zdaje się nicością ,

Ona dla myśli jest całą wiecznością .

Bo nieskończone, niezmiernie cierpienie

Może w myśl jedną zgromadzić sumnienie

I w jednej chwili wycierpieć od razu

Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

* * *

Przeszła godzina - Giaur jak cień przeminął .

Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął? -

W czarnej godzinie przybył , jak zesłana

Od niebios kara za grzechy Hassana,

Przyszedł i smętarz zrobił z baszy domu,

Przyszedł i odszedł jak wichur Symomu ,

Co wieje bożym obciążony gniewem

I za którego śmiertelnym powiewem

Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,

Choć wiosną nawet nie zrzuca żałoby,

Jeden, co wiernie opłakuje groby!

* * *

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,

Komnata jego od sług odbiedzana,

Pająk samotnik na ścianach się czepia

I szpary szarym całunem zasklepia.

W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,

W jego haremach gniazdo nietoperzy,

Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.

W ogrody czasem dziki pies przybieży,

Spragniony wyje na suchą fontannę ;

Stoją wód łoża z marmuru usłane,

Lecz owdowiałe - bo zdroje wymarły,

Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały

Łagodząc nieba wschodniego upały,

Niegdyś , tryskając srebrnej rosy tęczę

I fantastyczne wirując obręcze,

Rozkosznym chłodem rzeźwiły dokoła

Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było mile blaski gwiazd pogodnych

Widzieć odbite na tych łukach wodnych,

Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!

Tu często Hassan w niemowlęcym wieku

Bawić się lubił u kaskady ścieku;

Tu, drzemiacemu w matki swej objęciu,

Piastunka woda śpiewała dziecięciu.

Hassan młodzieniec na te wodotryski

Poglądał , siedząc obok odaliski,

I śpiew jej miłsze zdawał się mieć tony,

Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.

Lecz Hassan stary nigdy sennej skroni

Wieczorem u tej kaskady nie skłoni:

Z marmurów woda uciekła chłodząca,

Z serca Hassana wyszła krew gorąca.

Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,

Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:

Ostatni ludzki głos, echem odbity,

Był to krzyk na śmierć ciągnionej kobiety.

Głos skonał - odtąd milczą te pałace,

Wiatr tylko oknem otwartym kołace.

Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą ,

Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą .

Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje

Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;

Tu, gdyby ludzki jęk odbiły echa,

W jęku tym jakaś byłaby pociecha,

Ten jęk by mówił : «Nie wszystko skonało!

Jedno tu życie ludzkie pozostało».

Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe

Izby i sale puste - dotąd całe.

Dach jeszcze cały, chociaż rak zniszczenia

Roztacza ciągle ściany i sklepienia.

Lecz Zgroza siedzi przed bramą na straży,

Sam fakir do wrót zbliżyć się nie waży,

Derwisz ubogi nie przestąpi progu

Za chleb i za sól podziękować Bogu;

Nędza i Zbytek uchodzą na stronę ,

Nie powitane i nie ugoszczone;

Pałac, gościna wiernego narodu,

Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.

Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana ,

Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

* * *

Słyszę dźwięk z dala końskiego kopyta,

Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta.

Już bliżej - Turcy - już widzę turbany

I w srebrnym kutyk pochwach atagany .

Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,

Zapewne emir, bo w zielonym stroju .

«Ho! kto ty?» - «Salem! waszej jestem wiary,

Emirze; widzę , że wieziesz towary;

Widzę , że wór twój jest ciężko ładowny,

Ostróżnie wieziesz - musi być kosztowny.

Może do portu śpieszysz dla noclegu? -

Jestem przewoźnik - mam łódkę u brzegu».

«Zgoda - rzekł emir - pośpieszaj, czas nagli,

Odbijem cicho, nie rozpinaj żagli,

Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj

I szybko, cicho podnad brzegiem zmierzaj,

I wież nas prosto pomiędzy opoki,

Tam, na sam środek najgłębszej zatoki. -

Teraz odpocznij - dobre masz ramiona,

Podróż i zęczenie, i prędko skończona.

Lecz ona - zacznij podróż dalszą , z której...»

Rzucili w wodę -

Ciężko plusnęło - i powoli tonie -

Rozstały się wkoło szklane błonie,

Zważałem ciężar: dziwnie mi się zdało -

Ruszył się - pewnie morze nim ruszało.

Może to było księżycy błysnienie,

Nagle odbite o morza przestrzenie;

Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze

W mniejsze i węższe ścisnęły się tęcze,

Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;

Na koniec w środku wyszła bańka wodna -

Perłowe kółko - błysnęło - przepadło.

Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.

I tajemnica usnęła w topieli -

Genjuszowie morscy ją widzieli,

Lecz, drżąc z przestachu. w swych domach z koralu,

Nic o tym z żadną falą nie gadali.

* * *

Jak król motylów, za wiosny powrotem ,

Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem

Znad szmaragdowej Kaszmiru błoni

Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,

I z ziół na zioła, i z kwiatów na kwiaty

Ciągnie myśliwców, i myli ich czaty,

Wreście uleci i niknąć w obłoku

Zostawia żal w sercu i łzy w oku:

Podobnie piękność wabi starsze dzieci,

Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,

To łowców trwoży, to nadzieją mami,

Gonią wesoło - łowy kończą łzami.

Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada,

I motylowi, i piękności biada!

Chcąc uciec darmo skrzydełka natęży,

Igraszka dziecka lub ofiara męża.

Cacko, za którym żądza chciwie goni,

Straciło urok, gdy je mamy w dłoni -

A gdy wdział barwy i świeżość przeminie,

Rzucim, niech leci - lub samotnie ginie.

Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,

Czyli ofiarom swobodę zostawisz?

Motyl odartym skrzydełkiem czyż może

Latać jak dawniej z fijołków na roże?

Z pięknnością , w jednej uwiędłą godzinie,

Czyż razem pokój na wieki nie zginie? -

Zgraja motylów, co pod niebem lata,

Nie szuka w dole zranionego brata.

Płeć piękna dla nas ma litości tyle,

Lecz dla płci własnej ma serce motyle!

Piękność nad każdym nieszczęściem łączy leje,

Nad sióstr upadkiem - tylko się za śmieje.

* * *

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem

Jest jak skorpion opasany żarem ;

Krąg coraz mocniej zwęża się i błyska,

I więźnia coraz gwałtowniej dociska,

Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,

Skorpion cierpi, dąsa się - i wścieka.

Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:

Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,

Które trucizną pewną rany poi,

Jeden ból zada i wszystkie wygoi,

To żądło więzień topi w głowie swojej.

Podobnie dusza zła kona w cierpieniach

Lub żyje jako skorpion w płomieniach.

Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,

Światu niezdatni, a nieba niegodni,

Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,

Wkoło płomienie - a w pośrodku zguba.

* * *

Ponury Hassan z haremu ucieka,

Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.

On w lasach trudy myśliwców podziela,

Ale nie może dzielić ich wesela. -

Dawniej polować nie miał we zwyczaju,

Póki Leila mieszkała w seraju.

Dziś , czy Leila uszła? czy nie żyje? -

Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.

Różne powieści krążą między gminem -

Słysząc , że uszła z Wenecjaninem.

W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,

A z minaretów jasnych lamp tysiące

Bajram na całym obwieściły Wschodzie,

Leila poszła kąpać się w ogrodzie

I nie wróciła - szukano daremnie.

Mówią , że z Giaurem zesła się tajemnie,

Wsiadła z nim na koń za pазia przebrana

I w noc Bajramu zbiegła z państw sułtana.

Od dawna Hassan miał ją w podejrzeniu;

Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu

Tyle wyczytał miłości i wiary,

Że znowu brance zaufał pan stary.

Wieczorem poszedł w meczet na pacierze

I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerzę .

Tak powiadali czarni niewolnicy,

Niewierni pańskich haremów strażnicy.

Lecz inni głoszą , że gdy padł mrok szary,

Przy bladym świetle wschodzącej Fingary

Widziano Giaura na czarnym rumaku

W cwał lecącego po nadbrzeżnym ślaku,

Z cuglem spuszczonego, skrwawioną ostrogą,

Lecz nie wiózł panny ni pazia - ni kogo.

* * *

Oko jej czarne - i któż się ośmieli

Wzrok ten malować ? - te oczy gazeli

Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!

Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,

Które ze źrenic lecą przezroczystych

Jako z Dżemazyda rubinów ognistych .

Dusza z nich mówi! Wbrew słowom Proroka,

Że "postać niewiast jest ziemi powłoka" -

Allachu! dusza mówi z tego oka!

I choć bym w drodze ku lepszemu światu

Przechodził ostre mosty Alsyratu ,

Wisiał nad piekła ognistym potokiem

I cały rajski ogród miał przed okiem,

I w nim wabiące hurysy dziewice,

Powiem: kto widział Leili źrenice,

Ten Alkoranu nauk nie usłucha!

Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?

Jest cackiem, z którym bawi się , mężczyzna? -

Niech na nią spojrzy sam mufty, a wyzna,

Że nie śmiertelność wygląda z jej źrenic.

Na jej obliczu cudowny rumieniec

Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,

Jakby granatów posypany kwiatem.

Jej włosy jako hijacenty płyną ;

Gdy okolona rówiennic drużyną

Stanie, nad wszystkie głową wyniesiona,

I da warkoczom płynąć przez ramiona,

Włosem zamiata ślad swój na marmurach,

Ślad nóżki bielszej niżli śniegi w górach,

Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą

I ziemią jeszcze nie skalane świecą .

Jako monarcha ptaków Frangestanu ,

Łabędź , podnosi głowę z oceanu

I pysznie skrzydłem uderza po fali,

Skoro dostrzeże podróżnika w dali:

Z taką powagą ona zwraca głowę

I śnieżne ramię , i piersi perłowe,

I z taką piękną dumą wzrokiem miota,

Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota.

Cofną się , blasku wytrzymać nie mogą ,

Pochlebiać chciały, upadają z trwogą .

Jak była oczom piękną Gruzujanka,

Tak miała serce czułe dla kochanka.

Kochanka? Któż jej kochanek? - Hassanie,

Ty nim nie jesteś , dziki muzułmanie!

* * *

Ponury Hassan dał rozkaz podróży;

Oddział wasalów, co mu w dworcu służy,

Jak orszak i straż pojedzie za panem;

Każdy z janczarką , z łukiem, z ataganem.

Hassan sam zbrojny jedzie na ich czele,

Zwiesił na pasie krzywą karabelę ,

Wypróbowaną na albańskich głowach,

Kiedy raz zbójców napotkał w parowach

I tak rozgromił muzułman zwycięski,

Że ledwie kilku uszło z wieścią klęski.

Za pas dwa zatknął , bogato oprawne

W perły i w złoto, pistolety sławne:

Hassan przed laty dostał je od baszy,

Ich widok zbójców i wabi, i straszy.

Mówią , że Hassan jedzie pojąć żonę ,

Pocieszyć znowu serce zakrwawione

Zdradą Leili, co uszła z haremu

I dziś , o zgrozo! służy niewiernemu.

* * *

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca

Złocą się góry i kaskada grzmiąca,

Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.

Tu często kupiec Grek staje noclegiem,

Znajdując pokój w ustroniu głębokiem

Pewniej niż w mieście pod swych panów bokiem;

Tu się nie lęka o całość swej skrzyni;

W miastach niewolnik, wolny na pustyni.

Tu wesół spróżnia czasę pełną wina,

Którym się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar, wódz orszaku,

Z daleka widny po żółtym kołpaku,

Opodal konni ciasną jamy szyją

Po krętej ścieżce na skałę się wiją .

Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,

Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity

I lecą na dół ; już zwietrzyli łupy;

Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.

U spodu rzeka, która w zimie bucha

Ogromną wodą , a w upały sucha

Nagie i czarne łono swe odsłania

I kilka kaskad srebrzystych pochłania.

Wokoło ścieżki kawały granitu

Leżą bez ładnie, strącone ze szczytu;

Czas je pospychał albo zbiły gromy.

Wierzch skały niknie we mgle niewidomy,

Bo żaden z ludzi czoła Lijakury,

W pogodę nawet, nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali i po kilku chwilach

Dojdą wierzchołka; już krzyczą : "Bismillah!

Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie;

Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie".

Gdy czausz tak mówił - ogień z góry błysnął ,

Nad uchem ołów niewidzialny świsnął ,

Tatar przewodnik wyleciał z kulbaki.

Ledwie czas mają zatrzymać rumaki,

Skoczyli z siodeł , janczarki odwiedli,

Ale trzech spadło pierwej, niżli zsiadli,

Z rąk niewidzialnych rany odbierają

I ginąc, darmo o zemstę wołają .

Dobyli szabel, na rumaków karkach

Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,

Na półwciśnieni między końskie boki;

Inni uciekli pod ścianę opoki

I tam ręcznego czekają spotkania,

Nie lubiąc służyć za cel do strzelania

Wrogom, co bronią niewidzialną rażą ,

A wstępny bojem spotkać się nie wazą .

Sam Hassan został ; z konia zsiąść nie raczy,

Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy

Blask ręcznej broni; rozbójników zgraja

Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja,

I z tyłu słychać z janczarek łoskotu,

Że mu przecięto drogę do odwrotu.

Więc wściekły brodę od gniewu najeżył

I wkoło wzrokiem ognistym uderzył .

"Choć wrogі wkoło, choć gęste wystrzały,

Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały".

Zbójcy wychodzą , stają na skał szczycie:

"Rzucaj broń - krzyczą - komu miłe życie!" -

Ale Hassana oczy i rozkazy

Straszniejsze niżli nieprzyjaciół razy,

I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,

Żaden nie rzucił swego ataganu

I żaden podle nie krzyknął : "Amanu! " -

Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą ,

Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą ,

A z gęstwi lasu dowódca orszaku

Leci sam przodem na dzielnym rumaku.

Któż ten dowódca? - strój nosi albański,

Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański.

"Znam go, znam Giaura - wściekły Hassan woła -

Znam go, poznałem ze smagłego czoła,

Poznałem czarne, złowrogie źrenice ,

Jego nikczemnej zdrady pomocnice;

Konia czarnego znam, choć leci pędem,

Chociaż nakryty arnauckim rzędem.

Podły odstępczo twojej podłej wiary!

Teraz cię turban nie zbawi od kary.

Gdziemkolwiek spotkał , w jakiejkolwiek chwili,

Dobrze, że spotkał zdrajcę mej Leili".

Jak się wezbrana rzeka w morze leje

I morską burzę spotkawszy szaleje,

Łamią się fale, drżą opoki brzegu,

A nurty ryczą pod pianami śniegu:

Tak się spotkały wrogów zgraje obie,

Losem i gniewem gnane przeciw sobie;

Szable nad uchem grzmią , lecąc w kawały,

Huczą po skałach dalekie wystrzały;

Starcia się łoskot i karabel dźwięki,

Huk karabinów, konających jęki

Echo żałośne po dolinie szerzy,

Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!

Liczba niewielka, lecz bitwa straszliwa,

Nikt przebaczenia nie daje, ni wzywa.

Paro kochanków, mocne są tve sploty,

Gdy się ściskacie podzielać pieśczoty!

Lecz nie tak cisną miłości ramiona,

Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,

Jako się barki zwiążą nienawiśnie,

Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie. -

Przyjaźń ostygnie, pieszczota się skończy,

Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą po samą rękę uciętą ,

Krwia opryskaną i mocno ujętą

W sinej, od ciała odrąbanej dłoni,

Co jeszcze drgała nie puszczając broni;

Obok turbana, którego zawoje

Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje,

W deliji długiej, zmiętej, rozpostartej,

Od mnogich razów na sztuki podartej,

Zaczerwienionej jak chmury przed burzą ,

Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą ;

Krwia zlawszy piasek i gałęzie boru,

Gdzie wiszą szmaty jego palamporu ,

Z pierśią przebitą i otwartą ciosom,

Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,

Tak leżał Hassan - oczy już zbieleły,

Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.

Giaur stanął nad nim i w Hassana lice

Utopił równie straszne dwie źrenice.

"Tak! tyś pochował w falach mą Leilę ,

Jam cię pochował w czerwonej mogile.

Jej duch kierował mieczem; jej morderca

Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;

Proroka wołał , ale nadaremnie,

Prorok twej głowy nie wyrwie spode mnie.

Allacha wołał , wiatr prośbę rozdmuchał ,

Allach nie słyszał albo nie wysłuchał ,

O psie pogański! czyż Opatrzność , głucha

Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha? -

Zbójcą . zostałem! jeździłem na zwiady,

Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady,

Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą .

A teraz, dalej - w świat - jadę sam z sobą " . -

* * *

Na polu słyhać brzęk dzwonek wielbłąda;

Matka w ogrodzie z altany wygląda.

Na łąkach błyszczą już wieczorna rosa,

Już ku wschodowi ciemniej niebios

I rozniecają drżących gwiazd ognisko.

Już wieczór. - Hassan zapewne już blisko.

Matka stroskana zstępuje i bieży

Do swych haremów, i pogląda z wieży:

Nie widać ! nie zwykł jeździć tak pomału -

Nie zwykł popasać nawet w czas upału.

Nie przysłał darów ślubnych - czy się lenił ?

Czy konie strudził ? czy serce odmienił ?

Skarga niesł uszna. - Już Tatar posłaniec

Widny z daleka, już na skały kraniec

Wstępuje zwolna - już zjeżdża z urwiska

I wąwozami na dół się przeciska

Koń nic nie winien, koń pewnie z ciężarem,

Zapewneś lubnym objuczony darem.

Tatara mile przyjmę i nagrodzę

Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie zsiadł Tatar, od siodła odpina

Juki niewielkie: czy to dary syna?

Na twarzy smagłej bladość : czy to smutek?

Czy podróznego utrudzenia skutek?

Odzież spryskana krwi świeżej kroplami:

Może poranił konia ostrogami?

Rozwinął pakę - o aniele święty!

O Azraelu! to zawój rozcięty!

To syna szaty, całe krwią zbroczone!

"Pani, okropną twój syn pojął żonę ,

Mnie oszczędziły ręce poganina,

Bym ci pokazał krew twojego syna.

Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!

Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!" -

* * *

Turban w kamieniu prostym wyrzezany

I słup już dzikim zielskiem opasany,

Na nim z Koranu modlitwa wryta,

Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:

To cały pomnik w bezludnej ustroni,

Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.

Zacny Osmanlis; nikt między wiernymi

Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,

Nikt bardziej winem nie gardził wyklętym

I nikt pobożniej ku przybytkom świętym

Twarzy nie zwracał , gdy na świątyn dachu

Słyszał wołanie: "Illa-hu, Alla-hu!"

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany

I wśród ojczyzny leży jak wygnany,

Z dala od domu, na bezdrożu dzikiem;

Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.

Lecz duch Hassana już rajskie dziewice

Wiodą w rozkoszy wiecznej okolice,

Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,

Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.

Biegą , zielone chustki wywijają ,

Pocałunkami rycerza witają ;

Bo raj rozkoszy zgotowany temu,

Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty, niewierny! ciebie anioł śmierci,

Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci ,

Potem zawlecze na nowe katusze

Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę .

Tam ogień , wiecznych męczarni narzędzie,

Ciało twe palić , w duszy goreć będzie;

Słuch nie obejmie, język nie obwieści,

Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem

I trup twój, z grobu wyłaząc wieczorem,

Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną ,

Powinowatych spijać krew niewinną .

Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,

Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;

Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,

Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.

A twe ofiary rozstając się z światem

Poznają , że ich ojciec był ich katem;

Przeklną cię , twoje usłyszą przeklęstwa;

I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.

Ostatnia twoja ofiara na świecie

Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię ,

Ona konając krzyknie na cię : "Ojcze!" -

I krzyk ten ściśnie usta dzieciobojcze,

Ale ssać muszą , dopóki się żarzy

Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy;

Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka

Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.

Natenczas ręką przeklętą z jej głowy

Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;

Z tego warkocza pukiel darowany

Może na sercu nosi jej kochany,

A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,

Jak samobójstwa twojego pamiątki.

Krwią swoją własną , najmiłszą ociekły,

Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,

Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;

A tam upiory, twoi współwędrowce,

Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.

I oni twego zląkną się widoku,

I do podziemnych skryją się otworów

Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

* * *

Jak się ten zowie kalajor ponury ? -

Twarz mnie znajoma - raz go napotkałem

W ojczyźnie mojej; leciał między góry

Na dzielnym koniu, pominął mnie cwałem;

Leciał , jak tylko zdoła koń wyskoczyć ,

Oblicze jezdca ledwie mogłem zoczyć -

Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,

Że go opętał duch złego sumnienia.

Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,

Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.

I teraz strasznie wygląda ten człowiek,

Jak gdyby śmierć mu patrzyła spod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.

Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,

Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,

Ale przed nikim grzechu nie objawia.

Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,

Nie chodził ani razu do spowiedzi,

Ani się kłania przed Bogarodzą ,

Ani przed ołtarz idzie z kadzielną :

Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.

Nie wiem o jego przygodach i życiu,

Słyszałem tylko, że przybył ze Wschodu

Tureckim statkiem od stron Carogrodu.

Żeby był Turkiem, z twarzy się nie zdaje,

Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje -

Pewnie skruszony jaki apostata

Dziś opłakuje przeszłe błędów lata.

Tylko że świętych obrazów się lęka,

Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka;

Dał wielki skarbiec, który może złupił ,

I tym gościnność w klasztorze zakupił .

Lecz gdybym ja był na miejscu przeora,

Albo bym wygnał tego kalajora,

Albo w pokutnej zamurował celi,

Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bezprzytomnie gada

O pięknej pannie, która w morze wpada,

Słyszy szcęk mieczów, strzały nad opoką

I widzi Turka konające oko.

Ilekoć na tym wierzchu skały stawa,

Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa, -

On sam ją widzi i, czyja, pamięta;

Ręka pałaszem od ciała odcięta

Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,

A żeby skoczył ze skały do fali.

* * *

Spod mnichowskiego czarnego kaptura

Świeci jak z grobu źrenica ponura,

Czasem z ukosa błyskawice ciśnie

I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;

Barwa tych oczu co chwila się mieni.

Chcą ją uważać widzowie zdziwieni

I wnet uczują ten urok spojrzenia

Wymowny, trudny do wypowiedzenia,

Cechę umysłu, co niezgięty w dumie

Zna swoją wyższość i pokazać umie.

A jako ptaszek, gdy go wąż urzeczy,

Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze,

Tak widz ujęty w sidła jego wzroku

Chce i nie może rozerwać uroku.

Przed nim wpół trwożny braciszek umyka,

Kiedy samego przypadkiem spotyka;

Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem

Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.

Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,

Śmiejąc się , tylko urąga rozpaczy.

Poruszy usta i drżące wnet przytnie;

Widać , że radość już w nich nie zakwitnie

I że uczucie wzdargy i niedoli

Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.

I tak też było - trupie jego śmiechy

Nie są poczęte z serdecznej uciechy.

Okropne lica! jakież być musiały,

Kiedy za młodu namiętnie gorzały? -

Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozglądał ,

Tylko szpetnymi piękne poprzegradzał ;

Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,

Znaczno, że dusza nie całkiem szerniała.

Gmin widzi tylko w tym posepnym oku

Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku;

Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia

Wielkość umysłu, zacność urodzenia,

Dary, niestety, zbyt źle umieszczone,

Skalane zbrodnią , smutkiem przetrawione.

Był to przybytek nie podły, nie mały,

Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;

Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,

Ludzie nań lubią oglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach widzi co dzień

I rzadko do nich zagląda przechodzień ;

Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,

Co się czarnymi ruinami chmurzy,

Wzbudza podróżnych dumania i żale;

Z łamane łuki, opuszczone sale

Wiele o dawnej powiadają chwale.

* * *

W długiej kapicy fałdy obwinięty,

Z cicha przez kolumn przesuwają się rzędy,

Straszy patrzących i sam strachem zdjęty

Staje i patrzy na święte obrzędy;

Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,

Księża uklękli - cofa się w przysionek.

Tam przy niepewnym pochodni promieniu

Twarz jego blada połyska się w cieniu,

Tam będzie czekał , aż się nieszpór skończy,

Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.

Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany.

Kaptur opadły i włos rozczochrany,

Gęsty i czarny bezładnie się wije,

Jakby Gorgona swe najbrzydsze zmije

Wyrwawszy z głowy splotła mu na skronie;

Bo ten kalajor, choć mieszka w zakonie,

Ślubu nie zrobił ; więc nie strzyże głowy

I nosi włosy jak człowiek światowy.

Kapicę przywdział jako inne mnichy;

Dał skarb na kościół , lecz zapewne z pychy;

Nie z pobożności, hojnie kościół nadał ,

W którym ni razu pacierza nie gadał .

Tam - patrz na niego - w dzwonek uderzono,

Wszyscy uklękli, sakrament wzniesiono;

Stoi jak posąg, i widać z postawy

Wyraz rozpacz, wzdargy i obawy.

Ratuj nasz kościół , o święty Bazyli!

Bośmy na karę bożą zasłużyli,

Żeśmy takiego grzesznika wpuścili.

Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia

Człowieczą postać , on tak się objawia.

Te oczy jego, na słowo kapłańskie,

Nie są niebieskie ni ziemskie - szatańskie!

* * *

Serce zbyt czułe - do kochania skłonne;

Lecz nie zna, co to kochanie dozgonne,

Długie cierpienia dzielić siły nie ma,

Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma;

A twarde serce gdy miłość skaleczy,

Tej rany nigdy już czas nie uleczy.

Jako rodzimy kruszec od płomienia

Wprzód się rozżarza, niżli zaczerwienia,

Wrzucony w pieca płomieniste jamy

Zgina się , miękczy, lecz zawsze ten samy;

A potem wedle sztukmistrza rozkazów

Służy do dania lub odbicia razów,

Albo pierś twoją przed śmiercią zastawi,

Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi;

Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,

Ten, kto je ostrzy, niech ostrożnym będzie!

Tak ogień uczuć i sztuka kobieca

Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca;

Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie

I pierwej pęknie, niżli się odegnie.

* * *

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,

Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;

Pustą pierś czując otchłanie dokoła

Chce je zaludnić i o boleść woła;

Bo nie dzielone - każde czucie nudne,

I szczęście samo do zniesienia trudne!

Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,

Chcąc mieć pociechę wszystkich znieawidzi.

I jest to serce jak człowiek w mogile,

Gdyby z letargu zbudził się na chwilę

I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy

Od żył jego oblicze i oczy,

I nie miał siły bronić swych wnętrzności

Od tych szkaradnych, niespodzianych gości.

To serce jest jak pelikan, gdy leci

Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,

Krew swą gotowy na żywność im przelać ,

Życie z głodnymi nieskąpy podzielać ;

Już dziobem piersi rozranił szlachetne

I widzi tylko swe gniazdo - bezdziejne.

Najsrozsze męki, które nędzni znoszą ,

Samotnej duszy zdają się rozkoszą ,

Sieroczej, stepem otoczonej dzikim,

Trawiącej czucia nie dzielone z nikim.

Któżby był niebios ciekawy widoku

Bez słońca i bez żadnego obłoku? -

Lepiej jest płynąć , choć się niebo chmurzy,

Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy

I gdy żywioły zakończyły wojnę ,

Być wyrzuconym na brzegi spokojne,

W pustą zatokę i bez towarzyszy

Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;

Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,

Niżli żyć gnijąc po trochu na skale.

* * *

"Tyś dni tve przeżył , ojczyznie spowiedniku,

Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,

Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,

A sam nie znając zgryzoty ni troski,

Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tym życiu;

Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu!

Przeraża ciebie walka uczuć dzika,

Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika,

Choć jego skargę , jego łzę żałosną

Przyjmujesz w duszę czystą i litośną .

Moje dni krótkie na płaczu padole,

Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bole -

Przecież pomiędzy rozkosze i trudy

Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;

Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindziałem,

Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.

Dziś nic nie kocham ani nienawidzę ,

Pychy nie czuję , nadziei nie widzę ;

A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem

I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,

Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie

Na modlenie się i na rozmyślanie.

Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,

Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę .

Wkrótce się wszystko skończy tak, jak życzę ,

Zasnę w mogile nie marząc, czym byłem;

Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,

Gdybym mógł odżyć , żył bym tak, jak żyłem.

Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,

Leżą już zmarłe mych rozkoszy chwile;

Lepiej by dawno leżeć razem z niemi,

Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.

Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie

W długim i strasznym żywota męczeństwie,

Sam dobrowolnie w grób się nie położę ,

Jak dawni głupcy lub dzisiejsi tchorze.

Ze śmiercią nieraz spotkałem się z bliska;

Chętnie bym poległ wśród pobojuwiska,

Gdybym rycerskim mógł oddychać szalem

I kochał sławę , jak piękność kochałem.

Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,

Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,

To innych dzieło; niech rzną się żołdacy

Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.

Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy

Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,

Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;

Choćby mi groził i miecz, i pożoga,

Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,

Na miecz i ogień jeszcze się odważę .

Bo mężny na śmierć ze wzdardą poziera,

Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.

Kto mi dał życie, niechaj je odbiera;

Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz,

Gdym był szczęśliwy i dumny - a teraz?

Kochałem, ojczyźnie - o, nie - ubóstwiałem -

Lecz to są słowa, słowo często kłamie -

Ja miłość moją czynem pokazałem:

Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie,

To jest krew dawna, dotąd się nie starła,

Przelana dla tej, co dla mnie umarła.

Krew ta dobyta z serca mego wroga.

Nie trwoż się, księżo, nie wznosź rąk do Boga,

Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,

Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.

Samo wspomnienie o Maryi synie

Już obudzało złość w tym poganinie.

Głupiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,

Jeśli śmierć ręką chrześcijan zadana

Jest Turkom kluczem rajskiego ogrojca,

Tedy do raju wysłał go zabójca.

I teraz może hurys czarnooka

Witać Hassana u bramy Proroka.

Kochałem - miłość często drogę znajdzie

Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie,

A miłość taka, śmiała na przygody,

Czyliżby miała zostać bez nagrody?

Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem? -

Byłem szczęśliwy w miłości - dość na tem.

A przecież często żałuję - daremnie! -

Wolałbym nie być kochany wzajemnie.

Ona umarła - jak? - o to nie pytaj,

Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,

Bo tu wyryte noszę na mym czole,

Kaima pismem - me zbrodnie i bole.

Ale mnie nie klnij - posłuchaj - ja byłem

Przyczyną śmierci - lecz nie ja zabiłem.

Mógłbym i śmiałym to samo uczynić ,

Gdyby kochanka śmiała mi przewinić. -

Jemu niewierna - więc on ją pochował -

Mnie była wierną - jam go zamordował .

Choć śmierć jej była zasłużoną karą ,

Lecz jej niewierność , była dla mnie wiarą ,

Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,

Jedyny, którym nie rządzą despoty.

Ach! późnom przybył , nie mogłem jej zbawić ,

Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić ,

Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić .

Jego śmierć lekka - ale jej męczeństwo

Było dla myśli mych takim straszidłem,

Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.

On zginął słusznie - zrządzeniem wyroków,

On wiedział o tym od swoich proroków ,

Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa w dali

I słyszy wystrzał wprzód, nim broń wypali;

Zginął wśród bitwy, zgiełku i hałasu,

Bez mąk, bez bolu - cierpieć nie miał czasu.

Raz tylko wezwać Mahometa zdołał ,

Raz tylko w niebo o pomstę zawołał .

Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem,

On poległ - długo nad leżącym stałem

I duszy jego ujścia pilnowałem.

Konał jak tygrys pokłuty od szczwaczy,

Lecz nie czuł tego, co czuję - rozpaczy!

Szukałem w licu sinem, krwią nabiegłem,

Znaków boleści - żadnych nie dostrzegłem.

Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą ,

Jeszcze wściekłością tchnęły - nie zgryzotą .

Cóż bym dał za to, gdybym w jego twarzy

Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!

Widzieć , jak późna, niedołączna skrucha

Z konającego wywołuje ducha

Zbrodnię - i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć ,

Nie może zbawić , a nawet pocieszyć .

* * *

W krainach zimnych i serca są chłodne,

Uczuć , prawdziwej miłości niegodne.

W moim gorącym sercu czucia moje

Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.

Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach

O lubyh więzach i okrutnych wdziękach.

Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,

Ust nieme drżenie, mieniające się lica,

Serca katownia i głowy szaleństwo,

Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,

Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindząłem,

Wszystko, co czułem i co dokonałem,

Jeśli to znakiem kochania - kochałem!

Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać ,

Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać .

Umrę , lecz pierwszej rozkoszy użyłem,

Niech co chce będzie - szczęśliwy już byłem.

Mamże kląć losom? - jam sprawca mej doli,

Ja chciałem cierpieć , nie zmieniłem woli;

Dziś wróc mi dawne trudy i rozkosze,

Jam gotów znosić , co zniosłem, co znoszę .

Gotów żyć znowu, jakeśmy z nią żyli,

Gotów na wszystko - prócz śmierci Leili.

Życia mojego żałować nie warto,

Żałuję życia, które jej wydarto.

Ona spi, falami nakryta chłodnemi!

Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi,

Czemuż to serce schorzałe nie może

Znaleźć i dzielić jej podziemne łożę? -

Ach! był to anioł życia i światłości,

Widzę go dotąd, w oczach moich gości,

Krąży wkoło mnie, wabi mnie i nęci,

Moja zaranna jutrzienka pamięci!

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,

Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,

Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,

Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.

Pobożność duszę w niebiosą porywa,

Ale z miłością niebo w duszę wpływa;

Uczucie, które bóstwem zapalamy;

Które wytrawia wszystkie myśli plamy.

Jest to promyczek wszechwórczego słońca,

Korona, duszę wokoło wieńcząca.

Wyznam, że moja miłość była inna,

Była zbyt ziemską, ludzką, nawet gminną.

Jam grzesznik, ojczy - lecz ona niewinna.

Ach! ona była mą gwiazdą polarną ,

Zgasła, któż teraz oświeci noc czarną !

Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,

Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!

Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada

I całe szczęście, i wszystkie nadzieje,

Pokornie głowy pod wyrok nie składa,

Ale klnie losom i z bólu szaleje,

I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,

A zwiększa tylko winy i cierpienia?

Ach! serce chore na wewnętrzne rany

Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!

Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,

Mniejsza, gdzie spadnie, wie, że wszędzie męka.

Widzę , kapłanie, że tobie obrzydłem,

Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;

I tegom dożył ! żem stał się straszidłem,

Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.

Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,

Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,

Alem się uczył kochać od gołębia,

Umrę nie znając, co kochać raz drugi.

Dobrze by było nieraz ludzi dumnych

Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!

Słowik, co w gajach nuci z wiosny porą ,

Łabędź , co zdobi błękitne jezioro,

Mażonkę sobie jedną tylko biorą .

Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,

Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,

Niech sobie cacek szuka coraz innych,

Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.

Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny

Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,

Stokroć mniej niżli nieszczęsna dziewczyna,

Którą uwiódłszy zdrajca - zapomina.

Nie, ta na sercu mym nie ciąży wina!

Leilo! byłaś myśli moich treścią ,

Moją rozkoszą i moją boleścią ,

Tyś była cnotą , ty zbrodniami memi,

Nadzieją w niebie i wszystkim na ziemi!

Tak piękna jak ty nie była stworzona,

A jeśli, jest gdzie, już nie dla mnie ona.

Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie

Podobnej tobie, chyba samą siebie.

Życia mojego okropne wypadki,

Łoże śmiertelne przyzywam na świadki,

Że siebie dotąd kocham, jak kochałem.

Ty jesteś lubym serca mego szalem.

I jej nie było - a jam z nią nie zginął !

Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał ,

Waż pierś mą ścisnął , serce me obwinął ,

Myśli me kęsał i zemstą napawał .

Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,

Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,

Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby

Padł całun mojej wewnętrznej żałoby!

Resztę , kapłanie, wiesz z mojej powieści,

Wszystkie me grzechy i część mych boleści:

Ale mi nie mów więcej o pokucie;

Już późno! bliskiej śmierci mam przecucie.

Chociażbym przyjął wiarę objawioną ,

Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono? -

Za łzy pociechy wdzięczny jestem tobie.

Książdz nie pomoże nic w mojej chorobie,

Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,

Jeśli masz litość nade mną , nie gadaj.

Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,

Ja bym pokutę zaczął od tej chwili,

Kupiłbym zaraz i msze, i odpusty,

I modliłbym się stygnącymi usty.

Póđź do jaskini, gdy strzelcy wychwyca

Z gniazda lwią małe, i rozmów się z lwicą ,

Spróbuj ukoić jej żałosne jęki:

Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki. -

* * *

W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,

Gdy lubił dzielić smutki i wesela,

W mojej ojczyzny kwitnących dolinach

Miałem - czy mam go dotąd? - przyjaciela -

Daj mu ten pierścień , przysięgliśmy na nim

Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.

Wiem, że mnie kochał - chcę , by się dowiedział

O moim zgonie - on mi przepowiedział . -

Dziwno - on wzrokiem przeniknął proroczym

Przed laty wszystko, co ma ze mną stać się -

Śmiałem się - (wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)

Gdy on ostrzegał - nie pamiętam o czym!

Lecz teraz myślą wyzywam na nowo

Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.

Powiedz, że zgadnął - będzie mu niemiło,

Że się proroctwo tak na mnie spełniło.

Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętym,

Gdyśmy wesołe przegrali chwile,

Lecąc po społu w niebezpieczeństw tyle,

Wtenczas bywałem często niepamiętnym

I roztargnionym - może obojętnym -

Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym

Za jego szczęście pomodlić się chciałem.

Ale cóż taka modlitwa pomaga,

Gdy winowajca. za niewinnym błaga? -

Przed ludźmi - niech on sławy mej nie broni,

On, wiem, że dobry - przebaczy - a oni -

Niech co chcą , mówią - sława! Cóż mi po niej?-

Nie będę prosił , aby zgonu mego

Nie opłakiwał - nie jestem tak dumny -

Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny

Jak łza żałośna brata kochanego.

Pierścień ten - niech go z rąk twoich otrzyma,

Wręcz mu i opisz, coś miał przed oczyma:

Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną ,

Łódź falą uczuć na step wyrzuconą ,

Zwój pism zatarty - liść z dalekiej strony

Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

* * *

Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;

Nie, to, mój ojciec, nie było w marzeniach.

Kto marzy, ten śpi; ja wtenczas nie spałem,

Jak teraz nie śpię , i zapłakać chciałem,

Ale nie mogłem - źrenica łez głodna,

Czułem, że była wysechła aż do dna,

Chciałem wydobyć z niej łzę , łzę jedyną ,

Byłaby dziwną i miłą nowiną ;

Chciałem i teraz chcę , lecz rozpacz wzbrania,

Rozpacz silniejsza niżli chęć płakania.

Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę ,

Silniejsza rozpacz niż twoje pacierze.

Zbawienia nie wart jestem - i nieżądam,

Nie raj, ale spoczynku wyglądam.

Wtenczas - widziałem, ojciec - tak - tu była!

Widziałem dobrze - powstała - odżyła,

Białą , świecą obwiana symarą ,

Jak widzę teraz, tam nad falą szarą ,

Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni -

Ona świeciła jaśniej i łagodniej.

Dziś gwiazda świeci słabiej i tajemniej,

Jutro wieczorem wnidzie jeszcze ciemniej;

Ja, nim doczekam jej promieni drżących,

Nieczuła bryła i postrach żyjących,

Ja umrę , ojcze. - Już kończąc cierpienie

Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.

Tu ją widziałem, ojcze, i powstałem,

I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.

I porwałem się z łóża, i objąłem,

I cóż do mego serca przycisnąłem? -

Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,

Sercem nie czułem wzajemnego bicia!

Lecz to Leila! to jej postać była!

Kochanko moja, jak się ty zmieniła!

Spojrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś ,

Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś !

Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,

Obym cię tylko przycisnął do łona,

Całe me szczęście objąłbym w ramiona.

Niestety, marę objąłem ulotną !

Ręce opadły na mą pierś samotną -

Lecz patrz! to ona! to jej szata długa,

Jej ręka śnieżna; patrz, jak na mnie mruga

Tym czarnym okiem; włosy rozpostarła -

Nie - jam nie wierzył - ona nie umarła!

Ale on umarł , jam go sam obalił ,

Jam go pochował , kamieniem przywalił -

On tu nie wróci, bo ciężka mogiła

Ciśnie go z góry. - Ty? - po coś wróciła?

Oni mówili, że ta twarz jak zorze,

Ta postać śliczna już zapadła w morze

I że się nad nią fala szumna leje.

Rybacy mówią - szkaradne to dzieje,

Chciałem powiedzieć - język mi drętwieje.

Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza

Szukać dla siebie spokojnego łoża,

Ach, przesuń mokrą dłoń przez me powieki,

Niech już ostygną , zamkną się na wieki.

Lub rękę połóż na me serce wdowie;

Czy ciebie marą , czy duchem świat zowie,

Zostań oświecać chorego węzłowie,

Odchodząc weźmij z sobą mego ducha.

Potem niech wyje szturm, niech morze bucha.

* * *

Takie me imię, takie są me dzieje.

Samemu tobie powierzam wyznania,

Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania,

Suche me oko już łez nie wyleje!

Gdy skonam, pogrzeb ubogi mnie sprawisz,

Krzyż tylko prosty na grobie postawisz,

Bez żadnych liter - nie chcę , by wędrowiec

Napisy czytać szedł na mój grobowiec. -

* * *

Umarł - nie doszedł nikt po jego zgonie,

Jak się nazywał , w jakiej świata stronie

Jego ojczyzna; ostatnie wyznania

Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,

I o Leili, którą on postradał ,

I o Hassanie, któremu śmierć zadał .

Przygotowano na podstawie bookini.pl